ROZMAITOŚCI.

Dnia 21. Stycznia Nr. 3. Roku 1843.

UMARŁY KOCHANKIEM.

PRZEZ

PAWŁA MUSSET.

O godzinie 6téj z-rana na pięknym dniu jesiennym, zatrzymał się powóz przy domie pocztowym w Corbeil. Byłoto roku 1782, a więc przed sześćdziesiąt laty, a jednak to, co opowiém, zdaje się należéć do staréj historyi, tak się to czasy zmieniły! Podróżny jadący w otwartym powozie, był młody mężczyzna, pięknych rysów twarzy, i krwi szlacheckiéj. Podczas gdy konie przeprzęgano, ozwał się pocztylijon do podróżnego w te słowa:

»Dobrześ pan zrobił, żeś wstał tak rano. Tam oto jedzie drugi powóz, który będzie musiał długo popasać, bo nié ma koni do przeprzęgu. Właśnie tędy niedawno dwór przejeżdżał, nié ma więc teraz ani jednego konia.«

Ledwie tych słów pocztylijon dokończył, zbliżył się drugi powóz. W nim siedział młody mężczyzna, ubrany podług najnowszéj mody. Gdy mu oświadczono, że koni dostać nie może, zaczął się zżymać, kląć i piorunować.

Piérwszy podróżny ofiarował mu miejsce w swoim powozie, co tenże przyjął z wielkiém ukontentowaniem.

Obaj siedzieli milcząc obok siebie, konie raźnym pomykały kłusem.

Po długiéj chwili, podróżny, który się wprosił do powozu, témi przemówił słowy: »Nader ważna sprawa powołuje mnie do Paryża.«

»Domyślałem się od razu«, odpowiedział właściciel powozu. »Zaniechałem jednak pytać się pana, aby się nie okazać ciekawym.«

»Masz pan słuszność, że mnie od wszelkich pytań ochraniasz, bo to, com zamierzył, jest dla mnie nader wielkiéj wagi; dla tego roztropność moja nakazuje mi milczenie aż do téj chwili, w któréj się przyszły los życia mojego rozstrzygnie.«

»Szanuję tajemnicę pana. Ale że jesteś zakochanym, to więcéj jak pewna.«

»Tak jest, przyznaję. Projekt małżeństwa sprowadza mnie do Paryża. Obawiam się tylko, że tysiące przeszkód, które mi staną na zawadzie....«

»Ta młoda dama jest niezawodnie bardzo piękna?«

»Czarująca istota! Wprawdzie nie widziałem jéj nigdy, ale — oto jéj portret.«

»Jeźli malarz nie pochlébił, przyznaję, że jest bardzo piękna.«

»Ten portret nie wyrównywa rzeczywistości. Malarz nie oddał tego uroku, nie oddał téj duszy, która z oczu dziéwicy przemawia. Jest ona dobrego urodzenia, weźmie bogatą puściznę, co mnie najbardziéj cieszy. Czasami życzyłem sobie wprawdzie, aby mniéj była bogatą, natenczas mógłbym z większą nadzieją dobijać się o jéj rękę. Ma być dumną i obojętną na słodkie oświadczenia, które mężczyźni pięknym dziéwczętom czynią. Mieszka w Paryżu przy swojéj ciotce, margrabinie Champrè, która mnie tym skarbem obdarza. Wielu, bardzo wielu stara się o jéj rękę, ale ja się nie obawiam, bo mam ciotkę na mojéj stronie.«

»Historyja mojego życia nie jest wcale podobną do historyi, którąś mi pan opowiedział. Od dzieciństwa mego mieszkam w małym zamku w pobliżu miasta Nemours. Jestem jedynakiem, rodzice moi mimo szczupłego majątku swojego, nie szczędzili wydatków, aby mi jak najprzyzwoitsze dać

wychowanie. Staram się teraz o jaką posadę i złorzeczę mojemu lenistwu, które mi nie dozwala uczynić stanowczego kroku. Wzdrygam się na samą myśl, że w przedpokojach możnych panów muszę odbywać długie stacyje i łamać się we dwoje dla ukłonów. Gdy dwór ostatnią razą bawił w Fontaineblau, polecono mnie pani Polignac. Nie mogąc się oprzéć naleganiom osób, którzy mnie kochają, usiadłem dziś z-rana do mego powozu, dla udania się do Paryża. Tam chcę spróbować, czy mi kozér zaświéci, a może też uwiozę z sobą jaką piękną, bogatą żoneczkę.«

Po tych obopólnych zwierzeniach, zaczęli nasi dwaj młodzi podróżni opowiadać sobie swoje miłosne awanturki, przygody myśliwskie i rozmaite rzeczy; słowem, nim stanęli w Paryżu, byli już najlepszymi przyjaciołmi. Po wielu wnioskach wykryli nawet, że między nimi, to jest między zakochanym panem Tillemont, a właścicielem powozu panem Fleuranges, dalekie zachodzi pokrewieństwo. Umówili się więc, że do jednego zajadą hotelu.

Sród gawędy o rozmaitych rzeczach, czas schodził szybko. W dali już widne były wieże Paryża. Na dwieście kroków przed bramą miasta ukazał się jeździec, który jadąc naprzeciw naszym podróżnym, miał ich na oku; potém zbliżywszy się do powozu, wezwał pocztylijona, aby się zatrzymał.—»Mości panowie!« zapytał jeździec, »czy nie nazywa się który z was panem Tillemont?«

»Ja nim jestem«, odrzekł nasz zakochany.

»Nie jesteś pan dziś w południe spodziéwany w domu panny La Noue?«

»Tak jest.«

»Wszystko się zgadza co do joty. Bądź pan łaskaw wysiąść na chwilę, pomówimy słówek parę o téj sprawie, która pana zajmuje. Proszę po tysiąc razy o przebaczenie.«

Podróżni wysiedli, nieznajomy oddał konia pocztylijonowi, i wszyscy trzéj, gdyż i Fleuranges miał być obecnym rozmowie, udali się drogą uboczną na pole. Nieznajomy zdawał się przygotowywać na przemowę. Sród téj chwili milczenia, nasi dwaj młodzi przyjaciele mieli sposobność przypatrzyć mu się bliżéj. Nieznajomy miał najmniéj lat trzydzieści i pięć, szérokie plecy, oblicze chude, ale dość piękne rysy twarzy, na któréj pozostały ślady świadczące o burzliwéj młodości.

»Mości panowie!« przemówił nieznajomy, zatrzymawszy się pod drzewem. »Mój zamiar wyda się wam dziwacznym. Aby złagodzić trochę szorstkość tego projektu, muszę wam najprzód powiedziéć, kto, i czém jestem. Macie tu przed sobą barona Saint-André, który byłby miał 30,000 liwrów rocznego dochodu, gdyby trzecią część swojego majątku nie był przepuścił. Ale czas pustoty już mija, chcę wszystkiemu, jak to powiadają, kres położyć. Mój przyjaciel, uczony margrabia Condorcet, wprowadził mnie w dom panny La Noue, nie mającéj rodziców, która według swojego upodobania ma sobie obrać męża. Widziałem ją, i zostałem zaczarowany. Właśnie miałem polecić memu przyjacielowi, aby się starał dla mnie o jéj rękę, gdy w tém, dnia wczorajszego w wieczór dowiaduję się, że mam spółzalotnika zostającego w łaskach rodziny panny La Noue, który co chwila jest spodziéwany. Pytam więc, kto nim jest, zkąd ma przybyć, rozkazuję osiodłać konia i jadę naprzeciw panu. Cieszy mnie to niewymownie, żem się z panem spotkał. Pan jesteś przystojnym, młodym, odważnym mężczyzną, podałbym się więc na pośmiewisko, gdybym go prosił, abyś zaniechał starać się o rękę panny La Noue. Ja z mojéj strony nie mogę się także cofnąć. Podajmy więc sobie rękę, dobędźmy szpady, złóżmy się, zróbmy kilka pchnięć, dopóki się piérwsza krew nie pokaże. Kto z nas odniesie ranę, poleży sobie ze cztérnaście dni w łóżku, i ustąpi drugiemu, nie uwłaczając swojemu honorowi. Zwycięzcy staraniem będzie, przypodobać się pannie. Wprawdzie nie mogę zachować wszystkich formalności, nie ma tu cztérech potrzebnych świadków, ale rozważ pan, czas nagli, i tak korzyść jest na pana stronie, gdyż go już w południe oczekują. Uczyniłem, com mógł uczynić, zresztą sądzę, że to panu będzie dość przyjemném, pozbyć się natrętnego spółzalotnika, któryby pana nieustannie dręczył. Przyjmiéj więc moję propozycyję, a za kilka minut jeden z nas będzie miał otwarte pole. Cóż pan na to?«

»Przyznaję, że to bardzo pocieszna propozycyja«, odrzekł Tillemont, »ale takich jak pan rywalów, chętnie widzę. Służę więc.«

»Tu na tém miejscu ziemia sucha. Nasze szpady są zarówno długie. Nikt z ciekawych nie będzie nam przeszkadzał. Zrućmy więc surduty z siebie. W jednéj minucie będzie po wszystkiem. Muszę pana uprzedzić, że prawdo-podobieństwo zwycięztwa jest na mojéj stronie, mam bowiem zwyczaj, przy piérwszém natarciu tuszować przeciwnika. Bogu dzięki, nie zabiłem jeszcze nikogo! Również i słuszność wymaga, abym tylko zranił mojego przeciwnika. Kto bowiem ma dopiéro lat dwadzieścia, ten jeszcze za młody do ślubnego ołtarza; ci, co w trzecim krzyżyku, mają prawo do ślubnego wieńca. Racz więc rozważyć mój szanowny panie.«

Gdy Saint-André tych słów domawiał, oglądał miejsce pojedynku, a igrając przerzucał szpadę pomiędzy palce, i zawinął do góry rękaw od koszuli. Fleuranges obawiając się o swego towarzysza podróży, pozostał w blizkości pojedynkujących z tém przedsięwzięciem, że tego trupem uścieli, któryby jakich chytrych używał fortelów, zakazanych ustawami pojedynku. Tillemont zasłonił się bardzo zręcznie przed piérwszém natarciem, którém się St. André tak chełpił. Ten widząc tak zręcznego przeciwnika przed sobą, zaprzestał naciérać, i bronił się tylko. Twarz miał spokojną, nieruchomą; naraz z siwych oczu St. André błysnął płomień. Fleuranges spostrzegł na jego twarzy uśmiech, i w téjże chwili padł Tillemont w pierś ugodzony.

»Umiéram!« zawołał.

»Zamordowałeś go wpan!« dodał Fleuranges z oburzeniem.

»Jestem mocno tém zasmucony«, odparł St. André. »Zaręczam, że mnie to w saméj istocie bardzo zasmuca. Nie mógłem zadając pchnięcie, tak umiarkowanie prowadzić szpadą, jakem sobie tego życzył. Lepiéjby było, gdyby był mniéj zręcznym w użyciu szpady. Wprawdzie głęboka rana, ale mam nadzieję, że pan Tillemont przyjdzie do siebie. Oddycha wolniéj, z ust już mu krew nie idzie, i przyjdzie zapewne do zdrowia. Wdziéjmy na niego surdut. Może jeszcze iść o swoich siłach, więc nié ma żadnéj obawy. Siadajcie do powozu, ja się oddalam. Ale, ale, gdzież pan zajedziesz?«

»Do angielskiego hotelu.«

»Za godzinę przybywam z lékarzem.«

Tillemont dowlókł się do powozu i powtarzał kilkakrotnie: »Jestem śmiertelnie raniony! Weź pan te papiéry i przeszlij je mojéj rodzinie. Czy wierzysz w Boga?«

»Wierzę.«

»Każesz odczytać mszę za moję duszę. Bierz przykład ze mnie, nie wystawiaj swego życia na zgubę za lada fraszkę! Ach kochany Fleuranges umiéram, a nié mam jeszcze dwadzieścia i jeden lat! Szczęściem, że to nie stało się za życia mojéj matki!«

Skoro przybyli do hotelu, złożono do łóżka rannego, który zapadł w omdlenie. Baron Saint-André przybył w sam czas, aby widzieć jeszcze konającego przeciwnika, a lékarz napisał pośmiertną kartę.

»Jak już mówiłem, mocno ubolewam«, odezwał się baron. »Z tém wszystkiém on był moim spółzalotnikiem. Nie traćmy jednak głowy. Ja sam nie mogę donieść o tym wypadku pannie La Noue i jéj ciotce. Bądź pan tak dobrym i zawiadom ich o tém. Ja tymczasem zajmę się pogrzebem.«

Fleuranges nie przebiérając się, wsiadł do fijakra i kazał się zawieść na ulicę, na któréj margrabina Champré mieszkała. Serce mu biło gwałtownie, gdy otwiérał piérwsze podwoje. Na wschodach spotkał starą figurę w uniformie, która widząc młodego człowieka w sukniach podróżnych zawołała z radości: »On przybył! Margrabino! nasz synowiec przybył!« to wyrzekłszy, uściskał pana Fleuranges serdecznie.

»Dotrzymujesz słowa. To mi się podoba. Już nakryto do stołu. Ale pozwól, niechże ci się przypatrzę... Hm. Jak widzę, macie żwawych młodzieńców na prowincyi. Wejdźmy teraz, obaczysz małego anioła, którego dla ciebie przeznaczono. Na mnie polegaj we wszystkiém.«

Fleuranges nie miał odwagi powiedzieć poczciwemu staruszkowi téj smutnéj wiadomości. Nim jeszcze pomyślił, co ma uczynić, już go wziął nasz starowina pod ramię i wciągnął do salonu.

*

Tam zastał ciotkę i pannę La Noue, piérwszą musiał pocałować w oba policzki, a drugą w rękę, i to odjęło mu do reszty odwagi jak i sposobności, oświadczenia im, iż są w błędzie. Rozumié się, że dziéwczyna spłonęła żywym rumieńcem. Panu Fleuranges wydała się doskonałą pięknością podług owoczesnego gustu.

Margrabina nizka, otyła, miała dobre serce, a niewiele dowcipu. Przy stole rozmowa szła żywo i wesoło. Po obiedzie udano się na przechadzkę do ogrodu. Damy wzięły parasoliki z sobą, nasz staruszek podał rękę margrabinie, aby młodzież sam na sam zostawić.

»Czy to prawda?« zapytała Henryka »żeś pan zakochał się we mnie ujrzawszy mój portret? Nie pisałżeś tego do mojéj ciotki?«

»Ponieważ tak pisałem, więc musi być prawdą. Nie prawdaż pani?«

»Mnie się zdaje, że zakochać się nie jest rzecz łatwa. Miłość poznaje się po niespokojności, ściśnieniu serca, tęsknocie, bezsenności. A ja tu, (wskazując na serce) nic podobnego nie czuję.«

»Ponieważ mnie pani jeszcze nie kochasz.«

»A jeźli to nigdy nie nastąpi?«

»Natenczas nie pobierzemy się.«

»Jestem teraz spokojna. Moja ciotka ma inne od pana w téj mierze zdanie. Ona sądzi, że wprzódy trzeba pójść za mąż, a potém kochać, jeźli to być może. Wyznaję, że takie zdanie mnie oburza, ponieważ się sprzeciwia mojemu uczuciu. Zarzucają mi ludzie obojętność, nazywając to dumą, oziębłością, kaprysem. Niech mię kto z tego stanu obojętności wyprowadzi, a więcéj nie pragnę. Pozwolisz przeto, że nim pójdę za mąż, będę oczekiwać téj zmiany w mojém sercu.«

»Zdanie pani zdaje się bardzo roztropne. Jak pani nié masz ochoty brać za męża człowieka, którego nie kochasz, tak i ja nié mam chęci zaślubić tę, która mnie nie kocha. Mam nadzieję, że się zupełnie porozumiémy. Już w téj chwili czuję dla rozsądku pani szczére poważanie, i pragnę tylko, abyś pani podobném uczuciem dla mnie była przejęta.«

»Jużto poważać choć w jakiéjś części, potrzeba każdego, skoro nié ma przeciw temu właściwéj przyczyny. Miłość zaś będę czuć tylko ku jednéj osobie. Cnoty, zasługi, piękne przymioty duszy, szlachetne czyny....«

»Jak widzę, pani masz o miłości wzniosłe wyobrażenie. Jednakowo pozwól sobie uczynić uwagę, że bohatérów nie masz teraz tak dużo na świecie, i być może, że będziesz musiała długo czekać.«

»Więc będę czekała. Nic mnie nie nagli. Chceszże pan w 24 godzinach wynaleźć sobie żonę?«

»Jeźli pani pragniesz mieć bohatéra za męża, wyznaję, że się jéj nie podobam. Otwartość pani wymaga otwartości z mojéj strony: oświadczam, że mojém życzeniem nie jest mieć bohatérkę za żonę. Ja pragnę mieć niezepsutą, łagodną i wesołą żonę, którąby moję miłość, moje zaufanie wynagradzała uprzejmością, dobrocią serca, którąby się starała, rozrywać mnie, rozweselać w chwilach melancholii. — Tego pragnę — ale zapominam, że umarli się nie żenią.«

»Cóż pan przezto rozumiész?«

»Moja godzina już wybiła, odchodzę, aby cię pani nigdy więcéj nie obaczyć.«

Przybycie znakomitych krewnych panny Le Noue przerwało rozmowę. Panna Henryka była temu bardzo niechętną, bo radaby wiedziała, co miały oznaczać tajemnicze słowa pana Fleuranges.

»Nie uderzyłaż teraz trzecia godzina?« zapytał. »Ważna sprawa mnie wzywa.«

»Zatrzymajże się mój kuzynie«, przerwała margrabina, »moje ludzie niech zniosą twoje rzeczy.«

»Nié mam ani chwili czasu do stracenia, muszę odéjść natychmiast. Idzie tu bowiem o sprawę, przy któréj moja obecność jest nieodzownie potrzebna.«

»Gdzież pan spieszysz?«

»Do angielskiego hotelu.«

Fleuranges skłonił się damom, i wyszedł śpiesznym krokiem. Nasz staruszek towarzyszył mu do drzwi, szepcąc do ucha: »Dokądże pan idziesz? Zwierz tę małą tajemnicę przyjacielowi!«

»Mój drogi panie! Idę kazać się pogrzebać!«

»Jakto? pogrzebać?«

»Nie inaczéj«, odparł Fleuranges. »Dowiédz się, że dziś z-rana o dziewiątéj godzinie zostałem śmiertelnie raniony. Przywieziono mnie do angielskiego hotelu, gdzie o godzinie jedynastéj oddałem ducha. Z boleścią rozstaję się z tym światem, bom widział moję czarującą narzeczonę. Zapraszam pana jutro na mój pogrzéb, módl się za pokój mojéj duszy.«

*

W przeszłym wieku, równie jak i teraz zbyt często małżeństwa nie były niczém więcéj jak tylko kontraktami przedaży, które krewnym ślubnéj pary i notaryjuszom przypadały do smaku, ale nie młodym dziéwczętom. Pannę La Noue, która nie znała ojcowskiego despotyzmu, można usprawiedliwić, iż wbrew przyjętym zwyczajom chciała podług swojéj woli obrać tego, z którym miała podzielić majątek i swoje serce. Czas żałoby po śmierci ojca upłynął, a ze wszech stron zgłaszali się konkurenci. Od

czasu, jak przybyła do stolicy, jeszcze nigdzie jéj nie widziano, a już wiele znakomitych osób starało się o jéj rękę, dla swoich kuzynów i przyjaciół. Pan Condorcet mówił z wujem Henryki za panem Saint-André. Pani Muy, wdowa po ministrze, przedstawiła margrabinie swojego kuzyna, pana Beville. Pan Miromnill przyrzekł przekazać testamentem 100,000 talarów, jeźli panna La Noue odda rękę jego pupilowi, hrabi Noyon.

Panna Henryka przyjęła pana André zimną grzecznością, pana Beville pogardą, a hrabiego szyderstwem. Piérwszy mniemał, iż odniósł piérwszeństwo nad témi dwoma spółzawodnikami. Już w myśli widział się przy boku pięknéj Henryki i właścicielem jéj milijonów, gdy w tém dowiedział się o nowym zalotniku. Dla tego to powziął tak dziwaczny zamysł, który pana Tillemont pozbawił życia, a pana Fleuranges zapoznał z domem margrabiny.

Żarty były wtedy więcéj w modzie niż teraz. Tę płochość, któréj się Fleuranges dopuścił w obec tak smutnéj sprawy, można policzyć na karb lekkości owego czasu, gdyż z drugiéj strony on żałował szczérze śmierci swojego towarzysza. Opuściwszy dom margrabiny, nie stracił odwagi, daléj odgrywać roli kochanka. Jaki skutek wzięła ta sprawa, chciéjmy posłuchać rozmowy w salonie pani Champré.

»Kochany szwagrze«, zapytała margrabina. »Jako? sądziszże, że cię umarły odwidził?«

»Nie wiém, co mam myśléć, ale to wiém, że nie śpię. Nie powiedzianoż pani, że pan Tillemont nie żyje, gdy rozkazałaś służbie swojéj znieść jego rzeczy z hotelu? Nie byłżem sam w hotelu i nie widziałżem na własne oczy katafalku, światła, trumny i mszy żałobnéj w kościele św. Rocha? Nie szedłemże za orszakiem pogrzebowym aż na cmentarz? Jakże mi pani to wszystko wyjaśnisz? Czemuż pan Tillemont od wczora nie przyszedł znowu do naszego domu?«

Na te słowa weszła Henryka w sukni żałobnéj do pokoju i przemówiła smutnym tonem: »Nadaremnie staracie się przedemną ukrywać, wiém, że pan Tillemont nie żyje.«

»Nic się przed tobą nie ukrywa kochana kuzynko. Do téj chwili nie wierzymy jeszcze, aby twój narzeczony umarł, to nie jest prawdo-podobném. Teraz nie przystoją ci łzy, wczoraj-to godziło się lepiéj go przyjąć. Tyś go nie kochała, on nie był twoim narzeczonym, nie masz więc potrzeby, udawać wdowę.«

»Krzywdzisz ją pani, czyliżby była smutną, gdyby nie czuła boleści?« rzekł nasz stary jegomość.

»O tak, nosi żałobę, bo jéj do twarzy w czerni. Pan nie znasz kobiét. Zresztą niech sobie popłacze, jeźli ją to bawi, nié mam nic przeciw temu. W twoim wieku Henryko czujemy czasami potrzebę przybiérać postać smętną i przywdziéwać czarną suknię.«

»Przedtém czyniono mi zarzut, żem obojętna«, odpowiedziała łkając Henryka, »a teraz boleść moję poczytują za zbrodnię. Oświadczam uroczyście, że w panu Tillemont widzę mojego męża.«

Płacząc odeszła do swojego pokoju. Ta dziwna przygoda sprawiła w Paryżu wielkie wrażenie. Wieczorem zebrało się wiele osób u margrabiny, aby się dokładniéj dowiedziéć o tym wypadku. Niezawodna wiadomość o śmierci pana Tillemont sprowadziła wielu na tę myśl, iż on odebrał sobie życie. Do uzupełnienia całego romansu brakowało jeszcze rozpaczy narzeczonéj, o którą się panna Henryka postarała.

Podczas gdy w salonie margrabiny rozprawiano o upiorze, bawili się Fleuranges i St. André gawędką w kawiarni.

»Sprawa ta«, rzekł baron, »wikła się coraz bardziéj. Nie przewidziałem tego, ażeby panna Henryka mogła sobie to przypuścić do głowy i opłakiwać nieboszczyka, którego nie kochała. To strąca całą budowę moich zamiarów.«

»Takto zawsze będzie ci się powodzić panie baronie. Że coś być może, za tém nie idzie, aby było w rzeczywistości; któż zdoła czytać w sercu kobiéty? Jakiémi są, takiémi pozostaną; dziś tkliwe, jutro twarde jak opoka, kapryśne, jak szczęście. Unikaj ich, a biegną za tobą, zbliż się ku nim, a stronią od ciebie. Jakiż zamiar masz teraz baronie?«

»Bardzo prosty. Będę czekał, dopóki się dziéwczyna nie wypłacze. Oprócz pana nikt nie wié, że Tillemont padł z mojéj ręki. Będę ciągle bywał w domu ciotki, moja silna wola odniesie zwycięztwo, ożenię się z Henryką i sprawa ta skończona.«

»Życzę panu szczęścia!« odpowiedział Fleuranges, który będąc obcym w Paryżu chętnie się garnął do pana St. André.

We trzy dni potém wybiérał się St. André na piérwszą wizytę do pani Chambré. Fleuranges chodząc tymczasem bez celu po mieście, zaszedł aż na cmętarz *père la Chaise*. Na grobie klęczała młoda, czarno ubrana dama. Fleuranges nie chcąc być natrętnym świadkiem obcéj boleści, miał się oddalić z cmętarza, gdy wtém klęcząca osoba podnosi oczy, wydaje krzyk przytłumiony, i na pół zemdlona pada na ziemię. W oka mgnieniu poskoczył Fleuranges i podniósł ją, byłato panna La Noue.

(Dokończenie nastąpi.)

Wspomnienia wojskowe.

X.

W jednym z dni jasnych miesiąca stycznia r. 1809, jak tylko zorze poranne oświéciły szczyty gotyckiéj katedry Burgos, trębacze pułku ułanów polskich gwardyi odezwali się po wszystkich ulicach tego miasta, wzywając żołniérzy do marszu, i w krótkim czasie szeregi polskie zebrały się na wielkim rynku stolicy staréj Kastylii.

Lecz po odczytaniu przez wachmistrzy listy obecnych, okazało się, że kaprala Dąbrowskiego z żołniérzem stojącym z nim na kwatérze, nie było w szeregach.

Nieobecność tych széregowych zatrwożyła dowódzcę pułku, gdyż w wojnie hiszpańskiéj zdarzały się częste wypadki, że żołniérze ginęli od skrytobójczego żelaza.

Chcąc się niebawnie o przyczynie tego spóźnienia przekonać (wstrzymując wymarsz pułku), posłał dowódzca wachmistrza z kilku żołniérzami do kwatéry Dąbrowskiego.

Lecz nim opowiém zdarzenie tego żołniérza, poznam moich czytelników z jego osobą.

Dąbrowski, byłto żołniérz nadzwyczajnéj siły, okrągłéj twarzy z wielkiémi jasnémi wąsami, pilny w służbie, odważny w boju, przyjacielski z kolegami i w każdéj gospodzie, a przytém (co się w owym czasie rzadko między żołniérzami zdarzało), zachowujący stale wiarę swych przodków; jedném słowem przypominał on tak z postawy jak i swych przymiotów, rycerzy z czasów króla Stefana, którzy idąc do boju, nim silną dłonią skruszyli proporce, śpiéwali pieśń Bogarodzicy.

Po tych wszystkich cnotach był on zawsze prawdziwym ułanem, lubił skocznego mazura, lubił brzęk swych ostróg, czapkę nosił na bakier i każdą kobiétę grzecznie powitał; a jeźli przy wydarzonéj sposobności zbyt ochoczo nachylił kielicha, nie czynił to z nałogu lecz z wesołéj myśli.

Wszakże i teraz przy tak zmiennych zwyczajach, daremne byłyby mozoły, stracona wymowa tego, ktoby chciał przekonać ułana o zbawiennych skutkach metody Pryśnica.

Lecz wracam do mego wachmistrza: jak tylko wjechał w boczną ulicę, z-oczył stojącego żołniérza z okulbaczonémi końmi, a ten mu powiedział, że Dąbrowski ubrawszy się przed świtem w mundur, poszedł do kościoła Ojców Dominikanów, mówiąc, że zaraz powróci.

Wziąwszy z sobą żołniérzy, udał się wachmistrz niezwłocznie do klasztoru, gdzie wprowadzony przez furtyjana, ujrzał z wielkiém zadziwieniem w obszérnéj komnacie Dąbrowskiego z rumianém licem siedzącego za stołem śród licznego zgromadzenia zakonników.

Rozkazał mu wsiąść na koń i w jednéj chwili stanął z nim przed dowódzcą pułku, a kiedy ten zaczął go strofować, stał winowajca wyprostowany, trzymając rękę przy czapce; lecz gdy zażądał od niego tłumaczenia, Dąbrowski w te odezwał się słowa:

»Wiadomo panu pułkownikowi, że kiedyśmy staczając bitwy szli do Madrytu, wojska francuzkie zajęły przemocą Lerme, z którego miasta strwożeni mieszkańcy wraz z wojskiem hiszpańskim uciekli w góry, zostawując swe domy na łup zwycięzcom. — Nazajutrz w obozie dostrzegłem u jednego żołniérza z piechoty ampułkę kościelną; mając trochę pieniędzy, kupiłem tę w nadziei, że kiedyś ją oddam memu proboszczowi parafijalnemu na pamiątkę; gdy jednak teraz idziemy na nową kampaniję, bojąc się ażebym jéj w ciągłych marszach nie zgubił, odniosłem ją dzisiaj do OO. Dominikanów, w których kościele jest Matka boska cudowna, z prośbą, ażeby na moją intencyję odmówili pacierz. —Dobrzy zakonnicy nie chcąc na dal odkładać mego życzenia, wzięli mnie z sobą do kościoła, odczytali mszą świętą, po któréj otrzymałem błogosławieństwo i relikwiją świętego Jacka. — Przejęty skruchą żegnałem się z nimi, myśląc o marszu, kiedy w przechodzie przez wielką salę, ujrzałem przygotowane śniadanie; trudno było się wymówić tym Ojcom gościnnym, śpiesznie wypiłem zdrowie księdza jenerała, księdza gwardyjana i całego zakonu i już tylko miałem wypić zdrowie Ojców braciszków, kiedy mnie wachmistrz rozkazał wsiąść na koń.«

Po tém tłumaczeniu darował winę Dąbrowskiemu dowódzca, bo chociaż opóźnienie jego wymagało surowéj kary, przyczyna tego była zawsze cnotliwa, a tak Dąbrowski zamiast maszerowania piesze z karabinkiem na plecach przed trębaczami; dosiadł z radością swego rumaka unosząc z Burgos relikwiją świętego Jacka z tém przekonaniem, że ta go w nieszczęsnéj przygodzie zasłoni.—Stały w swéj wierze, kiedy w bitwie pod Wagram został ciężko raniony i leżąc w szpitalu polowym, słyszał jęki i narzékania innych żołniérzy, odpiąwszy swój mundur na piersiach, z wesołym umysłem pokazywał kolegom swoję relikwiję w tém zawsze przekonaniu, iż jéj tylko winien ocalenie swojego życia.

Czyliż Dąbrowski z swą wiarą nie był szczęśliwszym od wielu ludzi, którzy przechodząc cierniste drogi, tylko przelotne znachodzą pociechy?

S. H....

ZE LWOWA.

(Nadesłane.)

Polska aż do pierwszej połowy XVII. wieku, pod względem obyczajów i zwyczajów w czterech częściach opisana przez Wacława Aleksandra Maciejowskiego w Petersburgu i w Warszawie w księgarni Eggersa i Sennewalda 1842. 4. tomy w 12. — Dwojakie postrzegać się dają rodzaje uczonych prac teraźniejszego wieku, w zawodzie umiejętności, nauk i literatury u wszystkich narodów, które się literaturą i piśmiennictwem zajmuja. — Największa jest liczba dzieł, których pisarze zasiadłszy wygodnie w poręczowém krześle z cygarem w ustach, albo przelewają na papier swe własne fantazyje, mniéj więcéj bujne pomysły i wyobrażenia, siłą się rozścielić przed czytającą publicznością zapas swych ideałów, niby to głębokiéj nauki, lepią z niezliczonéj ilości słów ogromne bałwany i puszczają w świat jako nowy płód rozumu, nauki i mądrości, w nadętéj, napuszystéj i buchastéj postaci; lub też wziąwszy przed siebie przedmiot, o którym inni dostatecznie i gruntownie pisali, na nowo go przetrawiają, nicują, filtrują—książki takowe szybko rosną — miąższość ich zupełnie od autora woli zawisła, bo cóż być może, o czémby się nie dało mówić i pisać tak długo, jak długo się mówiącemu lub piszącemu podoba? Los podobnych dzieł jest ten, że raz z ckliwością przeczytawszy lub nie doczytawszy, potępiamy je jako zwłoki, w których tkwi zaród skazitelności na pastwę robactwa. — Drugiego rzędu dzieła są owe, gdy autor poświęciwszy lata, na zebranie rozsypanych po różnych stronach ziarn, kruszców, skrzętnie najdrobniejsze szczątki zgromadza, porządkuje, w jedną bryłę przetapia, i z tego metalu kunsztowny posąg odlewa. Do rodzaju uczonych płodów drugiego rzędu, należy bez wątpienia dzieło pana Wacława Aleksandra Maciejowskiego, którego powyżéj zupełny tytuł umieściliśmy. Jestto skreślenie obyczajów i zwyczajów narodu polskiego w różnych epokach, oparte nie na własnych fantazyjach, lecz na powadze pisarzy spółczesnych krajowych, w owych czasach żyjących, i rodowitym językiem piszących. — Przeczytawszy to dzieło, łatwo się każdy przekona, z jakim mozołem, z jaką stratą czasu i z jaką cierpliwością połączone było wyszukanie i odczytanie tylu książek, książeczek i pisemek, tudzież uporządkowanie i systematyczne spojenie rozsypanych lub tylko napomknionych drobnostek w jedną całość, jaka się w tem dziele oczóm naszym przedstawia. — Dla każdego kogo obchodzi wiadomość dziejów narodu polskiego, jego starożytności, obyczajów, zwyczajów, chwalebnych przymiotów i wad domowego i publicznego pożycia, dzieło to jest nieocenione; a wraz z dziełami pana Łukasza Gołębiowskiego o zabobonach, uhiorach, domach, dworach, grach i zabawach polskich w Warszawie 1830 i 1831 roku wydanémi, nieuchronnie potrzebne. W nich znajdzie pisarz dziejów niejedną skazówkę i niejeden promyk, za którego pomocą zdoła nastręczające mu się wątpliwości rozwiązać; pisarz powieści, dramatów narodowych, malarz, artysta dramatyczny, najrozmaitsze obrazy i najobfitsze źródła do swych utworów; a każdy co rok je przynajmniéj raz nietylko bez unudzenia, lecz nawet z przyjemnością przeczytać może. — Zwracając to razą, jedynie tylko uwagę na to dzieło, obszérniejszy rozbiór i sąd do późniejszego odkładamy czasu.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł N. 3. i obejmuje: 1) Rolnictwo oparte na użytkowaniu z krów, przez K. J. Turowskiego. 2) O szkodzie wynikającéj dla posiadania dóbr, kiedy administratora swoich posiadłości płaci od przewyżki dochodów z rozmaitych gałęzi gospodarstwa. 3) O zgorzeliźnie płuc, któréj rogacizna podlega, przez barona Wełden. 4) Łatwy sposób otrzymania od razu cegieł suchych, przez p. Pohl. 5) Wiadomość ogólna o zgromadzeniu szóstém niemieckich gospodarzy wiejskich i leśnych w Stutgardzie r. z. zebraném.

Staro-grecki teatr. Pisma niemieckie umieściły wiadomość, że król pruski jednemu z tamtejszych budowniczych polecił wybudować w Sanssouci zupełnie na staro-grecki sposób urządzony teatr, w którym w lecie podczas pięknéj pogody staro-greckie trajedyje i t. d. pod gołém niebem przedstawiane być mają.

Na teatrze w Atenach, zamyślają przedstawić: *Antygonę*, Sofoklesa z chórami Mendelsohna. Tak to arcydzieło starożytnej sceny ateuskiéj po dłuższéj przerwie niż dwóch tysięcy lat, będzie znowu przedstawione na tem samem miejscu, na którém niegdyś powstało.

Starożytne pomniki greckiego budownictwa w Anglii. Niedawno zawinał do portu w Greenwich angielski okręt linijowy *Cambridge*, z kosztownemi marmurowémi pomnikami budownictwa, które z pod gruzów miasta Xantus wydobyto, i kosztem angielskiego rządu do Anglii sprowadzono. Wszystkie te zabytki starożytnego kunsztu, ważące 3,600 cetnarów wiedeńskich, przeznaczono dla angielskiego muzeum w Londynie, gdyż muzeum oxfordzkie ma już podobne, sławne marmurowe pomniki niejakiego Arundela.

Świeczniki gazowe. Blacharz paryzki Fleury, ogłosił w gazetach, że zrobił mnóstwo wytwornych lichtarzy, z których nie łojowe albo woskowe świéce, lecz płomienie gazu światło dawać będą. Za pomocą prostego urządzenia, zapala się gaz, który w wydrążonym piedestalu świecznika jest ukryty. Gaz pali się tak jasno, iż lichtarzem takim pięć woskowych świéc oszczędzić można. Zresztą lichtarze te dają się także przenosić z jednego miejsca na drugie, a płomień nie wydaje najmniejszego swędu, nie dymi i nie kopci, i owszém w zamkniętych przestrzeniach uważać je można za środek czyszczenia powietrza. Jeźli te lichtarze gazowe pozyskają dobre przyjęcie, spodziewać się można, że kopcące świéce łojowe całkiem ustaną.

Sprężyste kapelusze męzkie. W stolicy angielskiéj rozrosła się przemysłowość jak ono drzewo, które konary swe na wszystkie kraje świata rozpościéra. Pożytek. piękność, wygoda są hasłem wszystkich nowo-pojawiających się wynalazków. Fabrykant kapeluszów Lifebook, mieszkający niedaleko teatru *Hajmarket*, robi teraz kapelusze gumi-elastyczne, które co do gibkości i trwałości wszelkie dotychczasowe kapelusze przechodzą. Nie przepuszczają one zupełnie wody, a będąc bardzo rozciągliwe, nie uciskają bynajmniéj głowy, dają się podobnie jak chustka ciasno zwinąć, a w potrzebie nawet w kieszenię schować. — Dla mężczyzn uczęszczających na teatr, bale, koncerta i t. d., z powodu téj sprężystości są niezmiernie dogodne. A że taki kapelusz nie traci nigdy formy, i przetrwa sześć zwyczajnych kapeluszów pilśniowych, przeto cena dwa dukaty nie jest nazbyt wysoka. Czarność, glans kutneru, równie jak i wytworna forma nie pozostawiają dandysowi nic do życzenia.

Fenomen. Pan Guislain nadmienia między innémi fenomenami także i ten, że z kurzego jaja, które wysiadła sroka, wylągł się tak dzielny kogut, iż wszystkie tego rodzaju ptaki pokonywał. Wiadomo powszechnie, że gołębie mają wysoki i szybki lot, a jeźli

ich jaja wysiędą ciężkie ptaki, tedy nowy ten płód chociaż dorośnie, już się nad ziemię podnieść nie może i na odwrót, gdy gołębica wysiędzie kurze jaja, postrzeżono, że kury te wyżej latają, i dłużej się w powietrzu utrzymać mogą.

Pierścień. Hortense Allevard i Louis Cannes byli zaręczeni kochankowie. Trąba wojenna wezwała Cannes'a do Rossyi. Przy pożegnaniu zamieniali kochankowie swoje pierścienie, na których były wyryte ich imiona. Cannes był rotmistrzem w pułku kirysyjerów francuzkich, i poległ w boju podczas odwrotu z Moskwy. Hortense z zakrwawionem sercem dowiedziała się o śmierci swego narzeczonego. Za wejściem Sprzymierzonych do Paryża, zabrała znajomość z pewnym oficerem rossyjskim, który dla swoich przymiotów serca i umysłu również był godny kochania. Hortense oddała rękę temu wojownikowi i wyniosła się z nim do jego ojczyzny. Przed kilką laty umarł jéj małżonek, a Hortense udała się do swojéj córki, zaślubionéj z pewnym obywatelem, którego włości nad brzegiem Berezyny leżały. Gdy zakładano fundament na ogrodową altanę, robotnicy wykopali dobrze zachowany szkielet człowieczy. Na kości jednego palca znaleziono pierścionek złoty. Gdy się Hortense dokładnie przypatrzyła téj obrączce, skrzyknęła nagle: »Louis Cannes!« i padła na ziemię. Od téj chwili smutek ogarnął jéj duszę, a dziwny ten zbieg okoliczności, poczytała za głos zmarłego. Złożona ciężką chorobą, po kilku miesiącach umarła. Z rozkazu jéj w miejscu altany wystawiono grobowiec, w którym szczątki jéj narzeczonego złożono. Obrączka Hortenzyi Alleward, błyszczy znowu na palcu umarłego. A ona sama, stósownie do swéj woli, spoczywa przy boku piérwszego kochanka i ma na swym palcu obrączką z imieniem Louis Cannes!

Obadwaj Vestris. Zmarły niedawno w Paryżu Vestris, on bożek tańca, był synem tak zwanego wielkiego Vestris, ucznia sławnego Dupré, który Ludwikowi XV. w tańcu lekcyje dawał. Ten Vestris, ojciec, był tak dumny opieką królewską, iż uniesiony nadzwyczajném uwielbieniem, którém go okrywano, miał się za jednego z najsławniejszych mężów swego wieku. Jakoż jednego razu rzekł bardzo komicznym tonem do obecnych: »W Europie nié ma tylko trzech wielkich mężów: Król pruski, Wolter i ja.« Lecz jakkolwiek Vestris był wielkim, jednakże syn jego, który po raz piérwszy 1772 wystąpił, zaćmił go swoją sławą. Gdy potém wystąpił po raz trzeci, ojciec objąwszy rękami jego prawą nogę, i podniósłszy ją ku ustom, rzekł: »Pozwól, niechaj tę nogę ucałuję—jestto boska noga!« Od téj chwili oświadczył jawnie, że go syn w jego sztuce przewyższy, dodając: »Zjawienie to da się łatwo wytłumaczyć, gdy powiedzą, że Vestris był twoim nauczycielem.« Jednakże zawsze jeszcze nie pozwalał mu przybrać swego wielkiego nazwiska, pokąd się nie przekonał, że jest tego godzien; dla tego Vestris, syn, długo był znany tylko pod imieniem Augusta; później pozwolił mu ojciec przybrać pięć piérwszych głosek swego nazwiska, które on połączywszy z zgłoskami matki, nazwał się Vestrallard. Dopiéro po rzęsistych oklaskach, któremi go w balecie ojcowskim okryto, udał się ojciec do jego loży i rzekł do niego ze łzami w oczach: »Kochany synu, talent twój godzien świetnéj nagrody; od dzisiejszego dnia pozwalam ci nazywać się mojem imieniem.« Ztém wszystkiém ten syn sprawił mu często zmartwienie. Raz nie chciał przychylić się do życzenia królowéj, która wyprawiając dla bawiącego podówczas w Paryżu króla Wilhelma III. widowisko, chciała, ażeby młody Vestris tańczył, dla tego téż stary Vestris rzekł do niego: *»Nieszczęśliwy synu! toż chcesz poróżnić obadwa domy Vestris i Bourbon, które zawsze z sobą w najlepszéj zgodzie żyły?«* Jakoż w saméj rzeczy rozgniewał się dom Bourbon, gdyż tancerza Vestris posłał na ośm dni do Fort-l'Eveque. Vestris był tancerzem z nadzwyczajną lekkością i wdziękiem; jednakże sławniejszym był jako tancerz niż jako mimik. Popisywał się najszczególniéj *pirouettem*, którego jeźli nie wynalazł, to go przynajmniéj wydoskonalił, a potém nadużył. Żaden z tancerzy nie dostąpił tak wielkiéj sławy; aby go widzieć tańczącego, jeżdzono z dalekich krajów do Paryża, a gdy w Londynie wystąpił w balecie, rzucano mu garściami gwincje na scenę. Vestris, który tańcem swoim pokonał Nivelona i Gardela, za wystąpieniem Duporta ujrzał swoją sławę przyćmioną; wiérsz pod napisem: *La dansomanie*, zadał mu ostatnią klęskę; jakoż popisując się prawie pół wieku na teatrze *de l'Opera*, uchylił się w roku 1816 ze sceny, mając lat 56. Przez lat sześćdziesiąt zaopatrywała familija Vestris wszystkie teatra europejskie tancerzami i aktorami. Zmarły niedawno Vestris, *le dieu de la danse*, jak go ojciec nazywał, był człowiek dobrych przymiotów, łagodnego, uprzejmego charakteru i od swoich kolegów powszechnie kochany. O nimto mawiał ojciec z dumą: »Syn mój unosi się w powietrzu, aby się nie poniżał.«

Czarodziejstwa przemysłowe. Powieść niesie, że w dawnych czasach tylko fenixy odradzały się z swych popiołów, teraz z starych pantalonów, podartych butów, zeszarpanych fraków, i tym podobnie, odradzają się zupełnie nowe, i to już nie jest bajką. Gdy dawniéj ojciec napisał do syna: »Kochany mój synu! Matka posyła ci moją starą kapotę: każ sobie zrobić z niéj nową«, śmiano się z tego jako z dowcipu. Lecz teraźniejsza przemysłowość zamieniła to w rzeczywistość i prawdę. Gdyż nie tylko w Chamille we Francyi, ale już i w Raudnic niedaleko Lipska, są fabryki, które stare pantalony, fraki, surduty, płaszcze przerabiają znowu na wełnę, tę wełnę przemieniają w pilśń, a tę w najpiękniejszy *bukskin*, tak dalece, iż nie jeden panicz zadziera nos w górę w paletocie z tych samych gałganów, które niegdyś żebrak z spuszczonym nosem z siebie zrzucił. Podług doniesienia zawartego w *Allgemeinen Anzeiger*, który, jak wiadomo, nigdy nie żartuje, pewien szewc w Apolda, gotuje z starych butów i trzewików gąszcz, i wylewa z niego nowy rzemień, z którego najpiękniejsze obuwie sporządza.

Czułe politowanie. Jeden z sędziów w Texas miał niedawno do osądzonego na śmierć zabójcy John Jones, następującą przemowę: »Mój poczciwy Johnie, posłuchaj co ci powiém: sąd nie miał zamiaru, abyś przed nadejściem wiosny na szubienicy wisiał; ale zważywszy, że powietrze jest bardzo zimne, więzienie bardzo wilgotne, szyby u okien potłuczone, a izdebka twoja w tak złym stanie, że ognia w niéj rozłożyć nie można, przytem liczba więźniów tak wielka, że ci na posłanie jednę tylko derhę dać możemy; więc aż do nadejścia wiosny byłoby ci tu bardzo niewygodnie. Sąd przejęty ludzkością i politowaniem, chcąc o ile to być może skrócić twoje cierpienia, czyni ci tę przysługę, aby cię zaraz jutro po śniadaniu powieszono.« — Za to prawdziwe czułe politowanie, jakże John nie miał podziękować szlachetnemu sędziemu!

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.

(Dod. nadz.)